Nim wyruszyliśmy w drogę do Aurangabadu, nasi nowi przyjaciele z Kolhapur postanowili pokazać nam najbliższą okolicę i znajdujące się tam świątynie i zabytki. A było co oglądać. A więc najpierw pojechaliśmy do położonej dwadzieścia kilometrów od Kolhapur Panhali – najmniejszego miasta w stanie Maharasztra, gdzie znajduje się fort z XVI wieku, a potem do dwóch świątyń hinduistycznych, w których przyjęto nas jak wyjątkowych gości (by nie powiedzieć VIPów) i pozwolono zwiedzić świątynie bez konieczności czekania na wejście i dane nam było zajrzeć tam, gdzie inni śmiertelnicy tak łatwo by nie weszli. A wszystko wtedy w tych świątyniach było w kolorze PINK, bo trafiliśmy na święto. No i wszyscy byliśmy różowi i różowym kredowym pudrem obsypywani błogosławieni. Sądząc z ilości różu na człowieku, najbardziej oddanym tamtemu kultowi był… Szafa, który różowe miał nie tylko czoło i twarz, ale także głowę, koszulkę, ręce… a że jest duży i był spocony, to różowe było wszystko w beżowo-białym autku, które wszędzie nas dowoziło.

Niestety, przyjazne Kolhapur trzeba było opuścić…

Do Aurangabadu dojechaliśmy busem. Trochę to trwało. „Trochę”, czyli około 8-9 godzin. Na postojach kupowaliśmy wodę, samosę i inne „czekadełka” przed porządną kolacją, no i szukaliśmy toalety. Na miejsce przyjechaliśmy o zmroku, pragnąc jedynie zjeść dinner, umościć się na łóżkach i zasnąć. Następne dwa dni miały przynieść mnóstwo wrażeń, bo przed nami były wycieczki do Adżanty i Ellory.

Do Adżanty wyjechaliśmy około 9tej. Było gorąco, drogi paskudne, rozkopane i dziurawe… Trzęsło nami w autokarze ze trzy godziny nim dojechaliśmy. Prawie w samo południe, czyli w czasie największej spiekoty. Uzbrojeni w butelki z wodą ruszyliśmy zwiedzać wykute w skałach przepięknie ozdobione malowidłami świątynie i skromniejsze wihary, czyli miejsca zamieszkania i spotkań mnichów. Dodam, ze cały kompleks powstawał między II w. p.n.e. a VII n. e. , a odkryli je dla nas dziewiętnastowieczni angielscy myśliwi, którzy postanowili zapolować na pokrytym gęstą dżunglą terenie. Nas zachwyciły ciągle wyraźne i kolorowe wyobrażenia bóstw, ornamenty i posągi Buddy usytuowane w centralnej części większości ćajtji, czyli świątyń właśnie.

Do hotelu wróciliśmy późno wymordowani długą wyboistą drogą i spiekotą. Wieczorem pozostało nam tylko trochę czasu na kolację i prysznic. Szybko kładliśmy się spać, bowiem następnego dnia czekała nas wyprawa do Ellory…

Pobudka o 7 lub 8? Wszystko zależało (i zależy na wyprawie) od tego czy jest się w grupie organizującej śniadania czy nie… bo większość śniadań organizujemy sami i zjadamy – że tak szumnie napiszę – przy wspólnym stole. Grupy przygotowujące śniadania składają się z 4-5 osób i ich zadaniem jest kupić tzw. chleb, czyli tostowe „gąbki”, pomidory, ogórki, jakieś owoce, no i „rozbroić” wybrane konserwy i serki topione (topione wielokrotnie… bo tu ciepło). Kolorowe kanapeczki powstają rękodzielniczo zwykle na odpowiedni o nakrytym łożu jednego z wyprawowiczów. Konsumenci przychodzą na wyznaczoną godzinę i pochłaniają swój przydział, czyli zwykle od 3 do 4 kanapek. Takie właśnie śniadanie pochłonęliśmy przed wyjazdem do Ellory.
Do Ellory z Aurangabadu jest zdecydowanie bliżej niż do Adżanty. Około 30 kilometrów. W Ellorze również są światynie – wielkie, wykute w bazaltach w okresie od IV do XI wieku. I

jest ich sporo (ponad 100), w tym 17 hinduskich, 12 buddyjskich i 4 dżinijskie. Te ostatnie okazały się dla nas niedostępne, ponieważ najprawdopodobniej coś się zawaliło, coś trzeba odrestaurować… nie wiadomo. Dostępu do nich broniły zasieki i żołnierz, pełniący wartę na ich murach, by żaden ciekawski turysta nie próbował zajrzeć tam, gdzie nie trzeba. Natomiast najpiękniejszą ze świątyń i najokazalszą jest bez wątpienia KAILASANTHA, bogato zdobiona rzeźbami, płaskorzeźbami, posągami… niestety, wszystkie posągi przedstawiające ludzi, bogów, bądź zwierzęta zostały uszkodzone przez muzułmanów nie uznających takich wyobrażeń istot żywych. Nas jednak to miejsce zafascynowało, choć zwiedzaliśmy je w potwornym upale obciążeni jak wielbłądy butelkami z wodą. Bo w Indiach pić trzeba dużo ,dużo, dużo i jeszcze więcej wody. Wiadomo – klimat. Choć nasi wyprawowicze ciągle jeszcze o tym zapominają, a na skutki takiego gapiostwa długo czekać – my opiekunowie – nie musimy. Więc przypominamy po kilkadziesiąt razy dziennie PIJCIE WODĘ!

A wracając z Ellory zatrzymaliśmy się w jeszcze jednym ważnym historycznie miejscu, czyli w Kulhabadzie, gdzie znajduje się nieoznakowany grób ostatniego i jednego z najokrutniejszych Mogołów – Aurangzeba. Zwiedziliśmy również Bibi Ka Maqbara, czyli The Baby Taj Mahal – grobowiec żony okrutnika Aurangzeba, ukończony w 1678 roku, w żadnym stopniu nie dorównujący cudowi z Agry. „Baby Taj” jest tylko w niewielkiej części wykonany z marmuru, nieproporcjonalny i rozczarowujący zwłaszcza dla kogoś, kto widział Taj Mahal z Agry na własne oczy. No cóż… niektórzy z naszej ekipy widzieli…

Aurangabad następnego dnia pożegnał nas deszczem. Na szczęście do dworca mieliśmy ze 100 metrów. Może nawet mniej. Więc szybko, uciekając przed pluchą, udaliśmy się na peron, wskoczyliśmy do pociągu, który ruszył w kierunku Khadźuraho.